

69265/

IGNACEMU JANOWI
PADEREWSKIEMU

1860 — 1885 — 1935



BURNE JONES

PADEREWSKI

LWÓW W LISTOPADZIE 1935

PADEREWSKIEMU

PROF. STANISŁAW NIEWIADOMSKI

IGNACY JAN PADEREWSKI
I JEGO PÓŁWIEKOWA WIELKA DZIAŁALNOŚĆ

IGNACEMU JANOWI
PADEREWSKIEMU
1860 — 1885 — 1935

LWÓW W LISTOPADZIE 1935
KOMITET KU UCZCZENIU DZIAŁALNOŚCI ARTYSTYCZNEJ
I PATRJOTYCZNEJ IGNACEGO JANA PADEREWSKIEGO

7180

56

52682

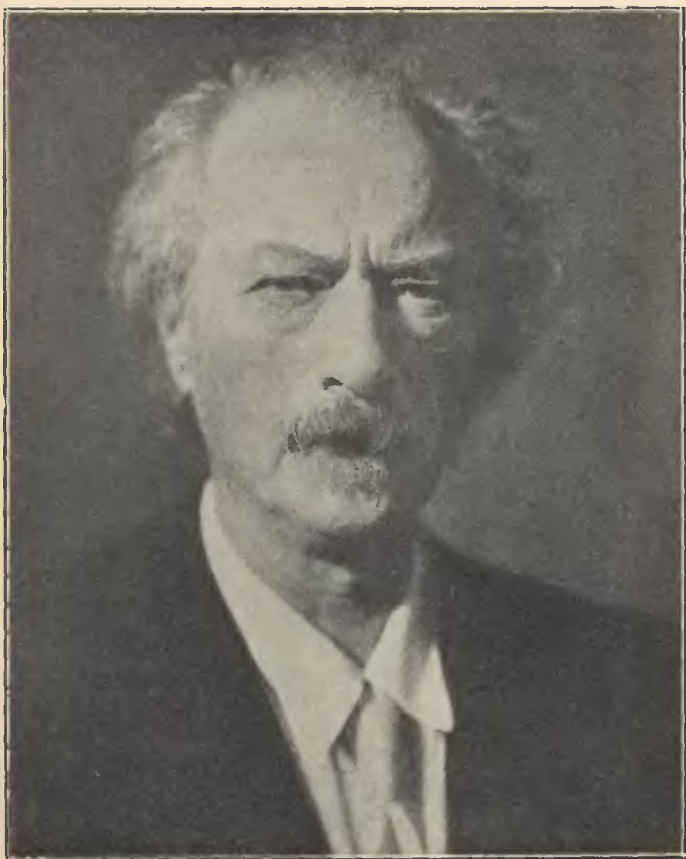
69265
I

Kazimierz Chodorowski
St. gród. Opolska 1/4
10. 9. 56. 60. 5



620/1935

Z Drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich
pod zarządem Adama Wierzbickiego



IGNACY JAN PADEREWSKI

SALA TEATRU WIELKIEGO WE LWOWIE

PONIEDZIAŁEK, DNIA 16-go GRUDNIA 1935 ROKU,
GODZINA 20-ta

POD PROTEKTORATEM PANA WOJEWODY
WŁADYSŁAWA BELINY-PRAŻMOWSKIEGO

UROCZYSTY WIECZÓR KU UCZCZENIU 50-tej ROCZNICY DZIAŁALNOŚCI IGNACEGO JANA PADEREWSKIEGO

PROGRAM WIECZORU:

1. Przemówienie Prezydenta Miasta Wacława Drojanowskiego
2. Prof. Uniw. Jag. Dr Zdzisław Jachimecki: Twórczość Paderewskiego
3. Koncert.

W CZĘŚCI KONCERTOWEJ BIORĄ UDZIAŁ:

Franciszka Platówna, artystka opery (sopran)
Stefanja Hinglerówna, artystka opery (alt)
Tadeusz Szymonowicz, artysta opery (tenor)
Henryk Sztompka, pianista
Orkiestra Filharmonji Lwowskiej
Chór mieszany Polskiego Towarzystwa Muzycznego
Chór męski „Bard“

Kierownictwo artystyczne: Dr Adam Sołtys

PROGRAM KONCERTU:

I. WYJĄTKI Z OPERY „MANRU“

a) akt III-ci, scena 1.

Wstęp orkiestralny i chór cyganów,

b) akt I-szy, scena 1.

Jadwiga i chór żeński „Jak grom rzuca się
jastrząb“... wykonają St. Hinglerówna i chór
żeński,

c) akt II-gi, scena 1.

Ułana-Manru „O siedzi tam z dzieciną swą“
wykonają F. Platówna i T. Szymonowicz.

II. „FANTAZJA POLSKA“, op. 19.

wykona z towarzyszeniem orkiestry Henryk
Sztompka.

III. WYJĄTKI Z OPERY „MANRU“

a) akt II-gi, scena 5.

Ułana-Manru „Nie włóczę się, mnie wiedzie los“,

b) akt II-gi, scena 6.

Ułana-Manru „Krew we mnie gra“
wykonają F. Platówna i T. Szymonowicz,

c) akt I-szy, scena 8.

„Żonę, dziecko rzuci rad“ wykona chór mieszany.

ADRES KOMITETU

DOSTOJNY, CZCIGODNY PANIE!

NAJODPORNIEJSZA NAWET SKROMNOŚĆ,
UCHYLAJĄCA SIĘ OD ZASŁUŻONYCH HOŁDÓW
MUSI USTĄPIĆ PRZED ŻYWIOŁOWYM NAPIE-
MIŁOŚCI, CZCI, WDZIĘCZNOŚCI I PODZIWU, ŻĄD-
NYM UJAWNIEŃ TYCH UCZUĆ BODAJ NAJ-
MNIJ WYSZUKANYM I NAJPROSTSZYM SPO-
SOBEM.

TWÓJ NAKAZ MILCZENIA ŁAMIE CHWILA
OBECNA, A SERCE GŁOSU SIĘ DOBIJA.

UPŁYWA BOWIEM WŁAŚNIE, CZCIGODNY PA-
NIE, PÓŁWIEKOWY OKRES, OBEJMUJĄCY JASNE
WSPOMNIENIA NIEBYWALE ŚWIETNYCH, SŁAWĄ
ŚWIATOWĄ OPROMIENIONYCH OWOCÓW TWEJ
PRACY ARTYSTYCZNEJ, A DZIWNIE SIĘ Z NIM
ZBIEGA DZIEŃ, W KTÓRYM, DOSTOJNY PANIE,
KOŃCZYSZ 75 LAT ZNOJNEGO I BUJNEGO ŻYCIA.
A ŻYCIE TO JUŻ OD LAT MŁODZIEŃCZYCH NIE
ZNAŁO DNIA BEZ MYŚLI O SZCZĘŚCIU POLSKI,
A OD LAT DZIESIĄTKÓW DNIA BEZ TRUDU DLA
JEJ WIELKOŚCI I CHWAŁY.

DWIE TAK WAŻNE, W JEDNYM ROKU SCHO-
DZĄCE SIĘ ROCZNICE MOGĄ CHYBA USPRAWIE-

DLIWIEĆ SKORZYSTANIE Z UŚWIĘCONEGO ZWYCZAJU, BY PRZY TAKIEJ SPOSOBNOSCI, BEZ ROZGŁOSU, W RODZINNEM NIEJAKO SKUPIENIU, UPRZYTOMNIĆ SOBIE ŻYWIEJ TE ZNAKOMITE CZYNY, PODBOJE, OFIARY, UPRZYTOMNIĆ TE TRIUMFY, ODNOSZONE NA OBU PÓLKULACH WSPANIAŁĄ SZTUKĄ I TALENTEM MISTRZA, KTÓRY W TYM CZASIE NIETYLKO TWORZYŁ DZIEŁA WŁASNEGO NATCHNIENIA, ALE GENJALNEM WYKONYWANIEM DZIEŁ INNYCH, JAKBY WSPÓŁTWÓRCĄ ICH SIĘ STAWAŁ.

ZE ZDOBYTĄ NA TEM POLU SŁAWĄ ŁĄCZYŁ SIĘ U ZAPRZYJAŻNIONYCH Z TOBĄ, MISTRZU, WIELKICH TEGO ŚWIATA, ZARÓWNO JAK U NIEPRZEJRZANYCH RZESZ WIELBICIELI PODZIW DLA WIELKODUSZNEGO MECENASA I DOBRO CZYŃCY, MAJĄCEGO SZCZODRĄ DŁOŃ, ZAWSZE OTWARTĄ, NA WZNIOSŁE CELE SVOJE I OBCE, PODZIW I CZEŚĆ DLA CIEBIE A ZARAZEM POSZANOWANIE DLA NARODU, CO TAK WIELKIM SYNEM SWOIM, TAKIM SWEJ KULTURY HEROLDEM A DUSZY WYRAZICIELEM POCHLUBIĆ SIĘ MOŻE, A NA KTÓREGO LOSACH, W PRZEDEDNIU I W ZARANIU WSKRZESZONEJ NIEPODLEGŁOŚCI OJCZYZNY, WIELKI PATRJOTO, TAK BARDZO ZAWAŻYŁEŚ.

TYCH NIESPOŻYTYCH ZASŁUG DLA POLSKI POMNY, A ZA ŻYCZLIWĄ OPIEKĘ DLA NASZEGO GRODU WDZIĘCZNY LWÓW U SCHYŁKU ROKU,

OBEJMUJĄCEGO OBIE DONIOSŁE ROCZNICE, POŚWIĘCAJĄC UROCZYSTOŚĆ DZISIEJSZĄ KU CZCI TWÓRCY I CZARODZIEJA DŹWIĘKÓW, MOCARZA SŁOWA W RODZIMEJ I OBCEJ MOWIE, WŁADCY SERC, WIELKIEGO POLAKA, ŚLE TOBIE Z GŁĘBOKIM HOŁDEM GORĄCE ŻYCZENIA, ABY NAJWYŻSZY W LATA NAJDŁUŻSZE DARZYŁ CIĘ NADAL PEŁNIĄ SWEJ ŁASKI I BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

W roku bieżącym mija lat pięćdziesiąt od chwili, kiedy Ignacy Paderewski wystąpił po raz pierwszy publicznie z koncertem kompozytorskim. Dnia 9 kwietnia roku 1885 odbył się ten koncert w Warszawie, w Resursie Obywatelskiej i dał początek całej działalności artystycznej dzisiejszego Mistrza, a w owym czasie młodzieńca dwudziestokilkolletniego, znanego już przedtem z poszczególnych występów i z rozgłosu, jaki posiadał dzięki swemu talentowi i okoliczności, że mimo lat młodzieńczych powierzono mu profesurę w Konserwatorjum, którego doniedawna przedtem był uczniem. Obchód, urządzony dnia 9 kwietnia roku bieżącego, polegał na dosłownem powtórzeniu owego koncertu z przed laty pięćdziesięciu, z tą tylko zmianą, że miejsce wykonawców ówczesnych zająć musieli inni artyści. Zresztą koncert odbył się w tej samej sali, na tej samej estradzie i przy fortepianie Kerntopfa, jak przed laty. Tak samo publiczność usłyszała: Sonatę skrzypcową, Warjacje fortepianowe, Album tatrzańskie (czteroręczne), szereg mniejszych utworów na fortepian i pieśni. Cała produkcja ta, dzięki doskonałym wykonawcom, stanęła na poważnej wyżynie artystycznej, a momentem jej wysoce wzruszającym

była okoliczność, że Jubilat, tam w oddali, za rzekami i górami, w swoim Riond-Bosson, w towarzystwie najbliższych przyjaciół siedział przed aparatem radjowym, przysłuchiwał się produkcji i zdążył w ciągu koncertu jeszcze wyrazić telefonicznie podziękowanie swe serdeczne uczestnikom koncertu i dyrektorowi działu muzycznego w Polskim Radjo, inicjatorowi pięknego obchodu.

Koncert przed 50 laty był produkcją czysto kompozytorską, bo w owym czasie myśl młodego artysty zwracała się całkowicie ku pracy twórczej. Opuściwszy Warszawę w roku 1882, Paderewski udał się do Berlina na studia teoretyczne do Kiela, znakomitego teoretyka i kompozytora. Przeszedł je szybko, lecz z tak wielkim wysiłkiem fizycznym, że zdrowie jego musiało na tem chwilowo ucierpieć. I w tym to czasie przybył do Wiednia, gdzie miał niedługo potem zmienić obrany pierwotnie kierunek, co stało się pod wpływem Teodora Leszetyckiego, słynnego pedagoga fortepianowego. Zmiana ta zaszła definitywnie dopiero w roku 1887, a tymczasem Paderewski dał się słyszeć w Warszawie, kładąc nacisk główny na swą produkcję twórczą. Nic to dziwnego, gdyż w Konserwatorium warszawskim, gdzie nad nauką harmonji pracował poprzednio u prof. Roguskiego, uważano go za wielki talent kompozytorski, może nie doceniając należyście wykonawczego. Leszetycki, ówczesna wyrocznia w sprawach fortepianu, nietylko umiał się poznać

na niezwyklej kwalifikacjach młodego muzyka, lecz w bardzo niedługim czasie potrafił go postawić na takim szczeblu doskonałości wykonawczej, iż karjera wirtuozowska otwarła się przed młodzieńcem w całym swym blasku. Koncert, dany we Wiedniu na cel dobroczynny pod koniec roku 1887 przez słynną (i wielką istotnie) śpiewaczkę Paulinę Lucca, zadecydował o dalszych losach wstępującego w świat wirtuoza. Zaproszony w charakterze pianisty, współdziałającego między numerami wokalnemi gwiazdy, okazał się w swych solowych numerach artystą tak zjawiskowym, iż go po koncercie jednogłośnie obwołano pianistą genialnym, a rozgłos tego powodzenia poszedł po całej Europie i stał się podstawą olbrzymich powodzeń w Paryżu i Londynie, które zawiodły następnie młodego wirtuoza do Ameryki (1893), krainy jego wielkości i sławy, wpływów i bezprzykładnej popularności.

Ale pisząc o tym pierwszym okresie wielkiej działalności Mistrza nad mistrze, trudno nie zatrzymać się przy chwili niezmiernie ważnej, kiedy to młody kompozytor oddał pierwszeństwo pracy wirtuozowskiej przed pracą twórczą. Cóż łatwiejszego, niż decyzję ówczesną przypisać ponętnym, a jak się niebawem okazało, wcale nie złudnym widokom wielkiej „karjery“?... Szuka jej każdy artysta, już chociażby tylko dla samego stwierdzenia, iż talentem i atrakcyjną swą siłą dorósł do zadań najwyższych. Ale w tym wypadku działało inne jeszcze uczucie, wyż-

sze ponad wszelką pospolitą kalkulację. Wielkim i silnym pragnął Paderewski zostać dla swej Ojczyzny, byстрыm swym, jasnym i krytycznym umysłem przewidując, że wirtuozowstwo przyniesie mu większe wpływy, niż działalność twórcza, tem więcej, że łączność z całym światem ono zapewnić może najłatwiej. W niedalekiej przyszłości cała szlachetna „kalkulacja“ Artysty okazała się trafną i do celu prowadzącą, wielkie zaś serce jego i przeczytsty charakter zajaśniały przed całym światem wspańiale i one to stały się podstawą ogólnej wiary, jaką wzbudzał wszędzie Paderewski artysta i człowiek, a za tą wiarą poszły i fakty, gdy zdobywszy sobie Amerykę jako niezrównany pianista, Paderewski stał się działaczem politycznym, który rozpoczął swą pracę od głoszenia światu wszędzie i przy każdej okazji, iż Polska żyje mimo stukilkudziesięcioletniej niewoli i niepodległość musi uzyskać, bo ma do niej te same prawa, co wszystkie cywilizowane narody całej kuli ziemskiej.

Nieopisana poezja jego gry czarowała słuchaczy w sposób niedopuszczający oporu, a gdy grał Szopena, najdalszy, najobojętniejszy dla spraw patriotycznych obcego sobie narodu słuchacz dowiadywał się, że ten precudny splot twórczej i odtwórczej sztuki jest duchową własnością Polski. W działalności tej swojej miał Paderewski jeszcze jedną potężną moc, niemal tej samej miary, co talent muzyczny, mianowicie wymowę złotoustą w każdym

z języków (angielski, francuski i niemiecki), którym w objazdach swych posługiwać się musiał. Kraj rodzinny dwie jego wiekopomne mowy słyszał: jedną w Krakowie roku 1910 w lipcu, wypowiedzianą przy odsłonięciu ufundowanego przez Mistrza pomnika Grunwaldzkiego, a następną w październiku tegoż roku podczas Zjazdu polskich muzyków z powodu uroczystości szopenowskich we Lwowie. Mowa ta, poświęcona Szopenowi i charakteryzująca muzykę jego w sposób genialny, wywarła wrażenie ogromne i rozeszła się w licznych tłumaczeniach po całym świecie.

Stałą siedzibą Mistrza Paderewskiego i jego małżonki, ś. p. Heleny z Rosenów, oraz siostry, p. Pauliny Wilkońskiej, było od roku 1899 Riond-Bosson, willa prześlicznie nad jeziorem Genewskim położona. Tu zwyczajnie spędzał święta Bożego Narodzenia i miesiące letnie, odpoczywając po trudach swych wielkich objazdów koncertowych. Przez cały czas pobytu Mistrza w Riond-Bosson willa pełna była gości z całego świata; znakomitości artystyczne jak i polityczne, młodzi muzycy, szukający rady i wskazówek, dziennikarze, podpatrujący ciekawie szczegóły życia wielkiego człowieka, wszystko to otaczało nieustannie pełnego niewyczerpanej uprzejmości gospodarza. W ostatnich kilku latach grono utalentowanych młodych muzyków polskich miało szczęście studjowania u Mistrza: Brachocki, Dygat, Nawrocki, Szpinalski, Sztompka

i Tadlewski, są to dziś pianiści, znani zaszczytnie w kraju i zagranicą.

Wiadomo ogólnie, że objazdy koncertowe Paderewskiego po świecie (Europa, Ameryka, Australia), podobne do triumfalnych pochodów jakiegoś władcy, przynosiły mu dochody olbrzymie, jakimi pochłubić się nie mogli najwięksi, przed nim żyjący, wirtuozowie: Paganini, Liszt lub Antoni Rubinstein. Nie posiadali oni jednak z pewnością wśród swoich nieraz bardzo entuzjastycznych wielbicieli tych zastępów serc, które Paderewski zdobywał nie tylko swoją sztuką mistrzowską, lecz i bezgraniczną dobroczynnością, świadczoną naokół. Oczywiście, wzrastały z tem i ogromne wpływy jego, które też razem z coraz silniej objawiającemi się zdolnościami polityka i męża stanu zaważyły w szczególności na losach Polski.

Gdy nadeszła wojna światowa, Paderewski zwrócił się już całą duszą do spraw politycznych. Narady w Riond-Bosson stały się zajęciem codziennem. Utworzono tam komitet „Pomocy dla Polaków“, który oczywiście układał plany działań politycznych. W roku 1915 Mistrz wyruszył do Ameryki i tu rozwinął olbrzymią propagandę na rzecz Polski. Przy każdej sposobności, z miasta do miasta jeżdżąc, w klubach, na uniwersytetach, na zebraniach publicznych, w stowarzyszeniach, przed żołnierzami, robotnikami i t. d. wygłosił razem jakich 300 mów w celu urobienia ogólnej opinii przychyl-

nie dla Polski. Wzywał też do tworzenia armji polskiej w Ameryce, zwoływał zebrania Sokołów, słowem, rozwinął propagandę niebywałą. Przy jego niezwykłym darze wymowy nie mogło to chybić celu. Ale, co najważniejsze, umiał wpłynąć na prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona (łączyła go z nim zażyłość a nawet przyjaźń osobista), iż tenże usposobił się dla sprawy polskiej bardzo życzliwie. Owocem tego był 13 paragraf Wilsonowskiego orędzia do Senatu (22 stycznia 1917), wykazujący konieczność istnienia Polski niepodległej wśród państw Europy. W roku 1918 udał się Paderewski przez Poznań do Warszawy, zajął stanowisko prezydenta gabinetu, podpisał w Paryżu traktat wersalski.

Rzecz prosta, że zarówno podczas wojny, jak i po jej ukończeniu, zajęty agitacją i polityką, a następnie i rządami nowopowstałego Państwa, musiał wypuścić z rąk zawód wirtuoza, przez co naraził się na ogromne straty majątkowe. Była nawet chwila, w której zdawało się, że z zawodem tym weźmie rozbrat na zawsze. Stosunki wewnętrzne w Polsce zmieniły się jednak w niedługim czasie tak dalece, że Paderewski w roku 1921 wyjechał do Ameryki, a dzięki swej niespożytej energii, zdrowiu fizycznemu i sile woli mógł na nowo rozpocząć dawny bieg życia. Nowe triumfy czekały nań w Ameryce i Europie. Popularność jego doszła do szczytu, a przyjmowany na dworach z honorami królewskimi i głoszony największym pianistą świata, mógł rozwinąć

jeszcze szerszą akcję dobroczynną, za którą uwielbienie spotykało go wszędzie. Niema wątpliwości, że chciał przed Europą w ten sposób dać wyraz wdzięcznemu i radością przepełnionemu sercu swemu...

Rzeczą godną podziwu jest też niewątpliwie fakt, że technika wirtuozowska, mimo tyloletniej przerwy, nie uległa żadnej zmianie, a gra Mistrza, jak ogólnie twierdzono, nowemi jeszcze zajaśniała blaski. Na nowo zaczęła czarować swemi tęczowemi barwy, swym wyrazem, swą nieporównaną fantazją. Ale do pracy twórczej wielki ten muzyk już nie powrócił. Na dziele 24-tem zakończył swą działalność kompozytorską. Prawda, że opusy jego rozmiarami są nie raz tak szerokie, że starczą za kilkadziesiąt utworów innego kompozytora. Dość tu wymienić operę „Manru“, wystawioną w Polsce na początku bieżącego stulecia i powtarzaną później kilkoma nawrotami, olbrzymią symfonię H-moll, natchnioną ideałami narodowemi, Koncert fortepianowy, Fantazję polską, Sonatę skrzypcową, albumy utworów fortepianowych w duchu romantycznym, czteroręczne Album tatrzańskie, pieśni polskie i francuskie.

W dniu dzisiejszym, chociaż dobiega podeszłego wieku, Mistrz rozporządza zdumiewającą siłą, jaśniej zawsze dawnym urokiem genialnego umysłu swego, a spoglądać może z dumą na szereg lat, przeżytych wśród pracy tak wielkiej, tak pełnej poświęcenia i tak bogatej w owoce! Zaiste, drugiej postaci podobnej nie znają dzieje muzyki!

IGNACY JAN PADEREWSKI

SZOPEN

MOWA, WYGŁOSZONA WE LWOWIE, PODCZAS
UROCZYSTEGO OBCHODU ROCZNICY URODZIN
MISTRZA,
W FILHARMONJI, DNIA 23 PAŹDZIERNIKA 1910 R.

Zebraliśmy się tutaj dla uczczenia pamięci jednego z największych synów naszej polskiej ziemi. Jak niedawno, w Krakowie, w jasne niezapomniane dni lipcowe składaliśmy hołd dziękczynny wielkim przodkom, co nam zbudowali Ojczyznę, tak dziś temu, co ją wzbogacił i przedziwnie upiększył, przyносimy w miłosnej ofierze wdzięczność i cześć. A czynimy to nietylko przez ukochanie przeszłości pamiątek, nietylko w poczuciu słusznej plemiennej dumy, nietylko dlatego, że w lechickich piersiach naszych drzemią wciąż jeszcze niewygasłe szczątki zamierzchłych wierzeń, których najpiękniejszą częścią było, jest i będzie święcenie ojców pamięci, lecz w przeświadczeniu zarazem głębokiem, że z tego uroczystego świata wyjdziemy silniejsi na duchu, pokrzepieni na sercach. A pokrzepienia, otuchy złaknieni jesteśmy bardzo.

Grom za gromem uderza w naród znękany, cios spada po ciosie; nie lęku, lecz zgrozy dreszcze całą wstrząsają Ojczyzną. Nowe formy życia, które przyjść musiały, przyjść powinny, obudziły się u nas, wśród nocy mar strasznych. Wraz ze zdrowem ziarnem powiało na nas tumanem plewy i pośladu; z jasnym płomieniem wszechludzkiej jakoby spra-

wiedliwości przyszyły i kłęby ciemnego, kopącego dymu; z lekkim tchnieniem wolności przybyły i fale trującego powietrza i ciężą nad nami boleśnie. W sercach nieład uczuć, w umysłach pojęć zamęt.

Uczą nas szacunku dla obcych, a pogardy dla swoich. Każą nam miłować wszystkich, choćby ludożerce, a nienawidzić ojców i braci, za to, że nie gorzej może, lecz inaczej tylko myśla. Chcą nas wyzuć zupełnie z rasowego instynktu, cały pokoleń dobrobek i dobytek oddać na pastwę nieokreślonej przyszłości, na łup chaosowi, którego potworne kształty lada godzina ukazać się mogą ponad tonią czasu. W odwieczną budowę świątyni narodu, której potężne wrogów ramiona zburzyć nie zdołały, biją dziś już młoty bratnią kierowane ręką: dla nowych gmachów pono naszych tylko gruzów potrzeba, jakgdyby owych budowniczych na własną nie stać było cegłę. Nad białoskrzydłym, niezma-zanym, nad najczcigodniejszym Ojczyzny symbolem kraczą kruki i wrony, chichocą obce a złowrogie puszczyki, urągają mu nawet swojskie, zaciętrzewione orlęta. „Precz z Polską“ — wołają — „niech żyje ludzkość“! Jakgdyby życie ludzkości ze śmierci narodów powstać mogło!...

W takich to czasach rozterki i zamętu myśl nasza zwraca się ku przeszłości i trwożna zapytuje: Azaliż wszystko, co było, potępienia i pogardy godne? Azaliż tylko to, co jest, co będzie, lub co być może, warte posłuchu i wiary?

Odpowiedź nie trudna.

Oto w tej chwili unosi się wśród nas, a nad nami, jasny duch jednego z tych, co byli. Ileż w nim światła, dzielności a mocy! Ileż w nim wysiłku, pracy, a cierpienia! Toć on znojnym trudem, ciężką, twórczą pracą, a w serdecznym bólu, na chwałę Ojczyzny ślad swego zaznaczył istnienia. Toć on bezkrwawym bojem, na niwach pokoju, zapewnił zwycięstwo polskiej myśli. Toć on nie „działami w kwiatach ukrytymi“, ale dziełami okrytymi kwieciami najcudniejszym świat cały zdobył dla Polski.

O wielka, święta przeszłości, któraś go wydała, bądź błogosławiona!

Utarło się już takie mniemanie, że sztuka jest kosmopolityczna. Jak wiele rzeczy, które się utarły, tak i to jest przesadą. Tylko to, co sam rozum człowieka tworzy, tylko nauka nie zna granic ojczyzny. Sztuka, a nawet filozofja, jak wszystko, co pochodzi z głębin duszy ludzkiej, co powstaje z zespołu uczucia z rozumem, musi nosić cechy plemienne, musi mieć narodowe piętno. Jeżeli zaś muzyka jest ze wszystkich sztuk najdostępniejsza, to nie dlatego, iżby miała być kosmopolityczna, lecz że jest z natury swej k o s m i c z n a.

Muzyka jedna jest istotnie żywą sztuką. Pierwiastki jej, wibracje, drgania, to pierwiastki życia. Cicha a dosłyszalna, potężna a niepoznana, jest ona wszędzie, gdzie jest życie. Ona się łączy z wód szu-

mem, z wiatrów powiewami, z lasów szmerem, ona jest w żywiołowych ziemi przewrotach, w ruchu planet potężnym, w ukrytych a zaciętych atomów walkach; ona jest w światłach i barwach, co olśniewają lub koją nasze oczy; ona jest w krwi naszej krążeniach, w namiętności naszych porywów, w bólach naszych serdecznych... Ona jest wszędzie i sięga dalej i wyżej, niż słowo ludzkie sięgnąć może; ona się wznosi ku nadziemskim sferom czystego niebotycznego uczucia.

Energja wszechświata brzmi nieustannie, brzmi nieskończenie wśród przestrzeni i czasu. Jej objawienie, rytm — z prawa Bożego pilnuje porządku, utrzymuje ład światów. Melodje Boga płyną nieprzerwanie po gwiazdnych obszarach, po mlecznych drogach, po światach, zaświatach, po ludzkich i nadludzkich dziedzinach, tworząc ten zespół cudny, wiekuisty: harmonję wszechbytu. Powstają ludzie i narody, gwiazdy, słońca, światy, by brzmieć, by dźwięczeć, a gdy ucichną, życie ich gaśnie. Wszystko gra, śpiewa, mówi. Wszystko tylko własnym ruchem, własnym głosem, i mową własną. Mówi, gra, śpiewa i narodu dusza, a jak? — słyszymy w Szopenie...

Muzyka ludzka jest tylko fragmentem muzyki wiecznej. W jej formach, myślą i ręką człowieka stworzonych, zachodzą częste przeobrażenia. Czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają, myśli, uczucia coraz to inne przywdziewają szaty. Synowie nie-

chętnie uchylają czoła przed tem, co było ich ojców — podziwu i zachwytu przedmiotem. Każdemu nowemu pokoleniu, w zaraniu życia zwłaszcza, w godzinach marzeń i pragnień, upojen i porywów młodości zdaje się, że ono tylko pcha ludzkość ku nieznanyim wyżynom, na nowe kieruje ją tory, że ono jest tylko powołane do wielkich myśli, do wielkich czynów i do dzieł wielkich. Każde pokolenie pragnie mieć piękno — własne. To też powstają dzieła sztuki, w tym poczęte duchu, powstają, by usłużyć potrzebom chwili, powstają i trwają niekiedy krócej, niż ich twórcy.

Ale powstają i inne, które trwają dłużej, z których po latach wielu widnieje jeszcze znamię pokoleń kilku, znamię epoki i ideału, co jej przyświecał. A są jeszcze i takie, zawsze młodością silne, zawsze szczerością świeże, z których się wciąż odzywa głos pokoleń wszystkich, głos rasy całej i głos ziemi, co je wydała.

Żaden z narodów na świecie nie może się poszczycić takim, jak nasz, bogactwem uczuć i nastrojów. Na harfę narodu naciągnęła ręka Boża strun bezmiar cichych i rzewnych, potężnych i głośnych. Mamy i miękkość kochania, i dzielność czynu, i liryzm, szeroką płynący falą, i siłę rycerską, waleczną; mamy i tęsknotę dziewiczą, i męską rozwałę, i smutek tragiczny starca, i lekkomyślną młodość wesołą. Może w tem tkwi czar nasz ujmujący, a może też to i wada wielka! Zmiany nastę-

pują szybko, bezpośrednio prawie: od radosnych upojen do żałosnych szlochań, od szczytnych porywów do upadków ducha dzieli nas często jeden krok tylko, jedno oka mgnienie. Widzimy tego dowody we wszystkich dziedzinach narodowego życia: w politycznych wypadkach, w społecznych przemianach, w pracy twórczej, w codziennym trudzie, w towarzyskich stosunkach, w osobistych sprawach... Wszędzie, wszędzie. Może to tylko taka przyrodzona właściwość, ale w porównaniu z innemi, sytemi, szczególnie narodami wygląda to raczej na niedomaganie. A jeżeli to niedomaganie, to nazwać je można wrodzoną narodową a r y t m j ą.

Z tej to a r y t m j i pochodzi zapewne przypisywana nam niestałość i niemoc wytrwania; w niej to należy szukać źródła naszej rzeczywistej, niestety, nieudolności do karnego, zbiorowego działania. W tej to a r y t m j i niewątpliwie tkwi i naszych dziejów tragizm nieszczęsny.

Ani jeden z tych wielkich, którym Opatrzność poleciła duszy polskiej objawienie, nie zdołał tej a r y t m j i dać takiego silnego, jak Szopen, wyrazu. Oni byli poetami. Ich krępowała jasność pojęć, ścisłość słowa, bo nawet nasza mowa, tak dziwnie piękna i bogata, wypowiedzieć wszystkiego nie jest w stanie. On był muzykiem. A muzyka, tylko jego muzyka, mogła oddać tę falistość naszych uczuć, tę ich rozlewność aż w nieskończoność, i to ich aż do bohaterstwa skupienie, te szału porywy,

co, zda się, skały skruszą, i tę niemoc zwątpienia, w której i myśl się mroczy, i chęć do czynu zamiera.

Tylko w tej muzyce, tkliwej a burzliwej, cichej a namiętnej, rzewnej a mocnej i groźnej, w tej muzyce, co się rada wymyka od dyscypliny metrycznej, co się uchyla od karności rytmu, co nie znosi metronomu jak znienawidzonego rządu, w tej muzyce słyszy się, czuje, poznaje, że naród nasz, ziemia nasza, że cała Polska żyje, czuje, działa: „in tempo rubato“.

Dlaczegoż w Szopenie właśnie ozwała się tak silnie dusza narodu, dlaczego z jego serca głos rasy naszej, jak źródło kryształowy z głębin ziemi niezbadanych, wytrysnął potężny, ożywczy, przeczysty? Spytajmy o to Tego, który „łono tajemnic odmyka“... On nam nie wszystko jeszcze powiedział i bodaj że nigdy wszystkiego nie powie...

Zwyczajny „krwi polskiej“ słuchacz, z wielką sztuką muzyczną nieoswojony, arcydzieł Bacha, Mozarta, Beethovena słucha niechętnie, czasem niecierpliwie. Kunsztowna wielogłosowość, bogactwo przeróżnych dźwiękowych powikłań, jasne dla wyćwiczonego umysłu, niedostępne dla jego ucha. Myśl jego się gubi w misternych fugach, uwaga się błąka i rozprasza wśród marmurowych kształtów pięknej, lecz germańskiej sonaty; w przedziwnych gmachach klasycznej symfonji zimno mu jakoś i nieswojsko, jak w obcym kościele; prometeuszowego

bólu największego z muzyków świata on odczuć nie potrafi. Ale niech się tylko odezwą szopenowskie dźwięki, nasz słuchacz „krwi polskiej“ zmienia się odrazu. Słuch się natęża, uwaga skupia, oko błyszczy jaśniej, krew szybciej krąży: raduje się serce, choć i łzy spadają na lica. Czyto tańce rodzinnego Mazowsza, czy tęskne Nokturny, czy dziarskie Ziemi Krakowskiej odgłosy, czy tajemne Preludja, czy zamaszyste Polonezy, czy żywiołowe a przedziwne Etiudy, czy burzliwe a epickie Ballady, czy też bohaterskie Sonaty, — on wszystko rozumie, odczuwa wszystko, bo wszystko to jego, p o l s k i e.

Rodzime powietrze owiewa jego istotę, swojski przed nim roztacza się krajobraz. Pod niewyraźnym smutnego nieba błękitem — szerokie ojczystej ziemi równiny, sina wstęga lasów, pola uprawne, żyzne łąny, ugory, piaski ubogie... U stóp łagodnych pagórków — zielone łąk niziny, od których pod wieczór mroczne, tajemnic pełne idą opary. Szemrze woda ruczajów, szepcą płaczliwe, rzadkie brzozy i wierzby liście, wiatr muska wierzchołki topól wyniosłe, porusza zieloną jeszcze falę kłosów żyta i pszenicy, a od borów sędziwych idzie woń zdrowa, żywiczna...

Twory prastarej przodków wyobraźni zdają się napełniać tę przyrodę, obumarłych bóstw postacie powstają wskrzeszone, mitologia cała wśród wiosennej nocy budzi się znowu do życia. Scherzo! Niby jakieś bogów i bożków, bogiń i boginek mocarne krotchwile.

Po łąkach i polach wiją się przeróżne dziwy. W gęstych zaroślach mocują się wilkołaki. Igrają figlarne chochliki. Lubeczki i miłosteńki krążą w płasach zalotnych, to znów otaczają kołem bogiń królowę, naszą miłości królowę, Dziedzilję, aby pieśni jej posłuchać, pieśni, co się dobywa z piersi rozwartej, z której widnieje kochaniem wezbrane serce całe — serce Polski. Czasem odwieczny Perun się odezwie i zagrmi, ponuro, groźnie, uroczyście. Drżą święte gaje, spłoszone rusałki znikają z powierzchni jeziora. A oto niebo płonie od błyskawic ognia. Wicher się zerwał straszliwy i pędzi, i goni, i niszczy, i łamie... Śród burzy odmętu runęły sklepienia tak ongi dumnej i władnej Derwidów świątnicy...

Słucha nasz Polak. Technienie lata na ojców ziemi ogarnia jego duszę. Złote morze pszenicy gdzieś wyschło. Zboże już w snopach i kopach, spoczęły sierpy. Fruwają lekkie przepiórki i poważniejsze kuropatwy, badając skrzętnie zasobne jeszcze rżysko. Od pieśni żniwiarnych drżą jeszcze powietrzne fale: z łągów i pastwisk dochodzi odgłos fujarki pastuszej. W wiejskiej opodal gospodzie rażno i gwarno. Grają zręcznie skrzypki, grają od ucha; potrącając często o tę swojską, plemienną zwiększoną kwartę, wtóruje im uparcie pedał prostaczej basetli, a lud nasz tańczy żwawo, zamasyście, lub śpiewa zwolna, z zadumą, ten lud nasz zdrowy a kapryśny, wesoły a przepojony tęsknotą. W kościółku grają ubogie organy...

Tuż niedaleko, w dworze okazałym, żarzą się światła po komnatach. Szlachty dostojnej, snąć po sejmiku, tłum barwny, lśniący. Zabrzmiała kapela. Pan podkomorzy, a może ktoś godniejszy, co z wieku i urzędu to mu się należy, poloneza poczyną. Brzęczą karabele, szeleszczą wzorzyste materje i purpurowe kontuszów wyloty. Posuwistym krokiem idą dumne pary. Ku pięknym oczom, ku licom gładkim, staropolskiej mowy płyną słowa gładkie, męską łaciną zgęsta przeplatane. Czasem ktoś nieśmiało francuszczyznę zatrąci...

A gdy skończyli, starzec siwowłosa o długiej brodzie, o srebrzystym głosie, przy dźwiękach gęśli, dudarza, przy lutni i harf wtórze, jakąś zamierzchłą baśń opowiada. Mówi o Lechu, Kraku, Popielu; o Balladynie, Wenedzie, Grażynie; prawi o zamorskich krajach, o włoskiem niebie, o świetnych turniejach, trubadurów pieśniach; śpiewa o Białym Orle i o bratniej Pogoni, o zwycięskich walkach i bitwach przegranych, o bojach sławnych, wielkich, nieśmiertelnych, choć nieskończonych, nierozstrzygniętych...

Wszyscy go słuchają, wszyscy rozumieją...

Podczas gdy w ogrodzie, wśród woni róż, jaśminu, lilij westchnień czystych, pobłażliwego lip starych poszeptu, przy gwiaździstym nokturnie uroczą kasztelanka smętnemu młodzianowi czyni miłosne nocy letniej zwierzenia...

Minęło już lato i lata minęły. Minęły sławne pancernych rycerzy pochody, opadły skrzydła nieustraszonych husarzy, co pruli zwycięsko morskie Bałtyku fale, ułanów przemężne szarże zakuły się w spiżowe narodowej chwały wspomnienie... Jesień nadeszła. Preludja jakby Epilogi! Czy to jesień życia? Nie. To życie jesieni. Dni już krótsze, światła skąpiej, mniej już pogody i wesela. Choć czasem, gdy słońce całym zajaśnieje blaskiem, od bogactwa barw niezrównanych oderwać się trudno, znać już przewagę mroków, ciemności. Staroświecki zegar, co dziadom, pradziadom, lepsze mierzył czasy, wybija teraz poważnie późną, nocną godzinę. Wiatr wyje ponuro w pustkę komina. Słyszać miarowe krople jesiennego deszczu, słyszać spadanie zwiędłych na ziemię liści i osieroconych gałęzi szmer po nich żaloszny.

Na starych cmentarzach, na dawnych kurhanach i uroczyskach latają widma, upiory, snują się posępne duchów korowody. Jakież to widma, upiory? Duchyż to czyje? Azaliż to Żółkiewski, Czarniecki? Azaliż to Bogusław, Janusz Radziwiłłowie, Radziejowski? Czy to nie ta szlachetna i dziś mimo wszelkie nieszczęścia — wzniosła, świetlana, jasna, jasnogórska Kordeckiego postać? Czy to nie Siciński? A może to Rejtan, a może nieszczęsnej Targowicy marszałek Szczęsny? Może Bartosz Głowacki? a może i Szela?... O nie! Oni do historii należą, a historia — to czcigodna a wybredna strażniczka,

co wprawdzie, stojąc u progu wieczności, wpuszcza do przybytku zarówno złych, jak i dobrych, lecz samych tylko wielkich.

Ta zaś muzyka — to cząstka wieczności samej i w niej się wszyscy mieszczą: wielcy i mali, możni i ubodzy, sławni i bezimienni, wszyscy, tylko wyjęci z wad, przywar i zbrodni ziemskiej powłoki, skąpani w zdroju najczystszej duszy, upiększeni, uszlachetnieni.

Bo Szopen upiększał, uszlachetniał wszystko. On odkrył w głębi ziemi polskiej najdroższe kamienie, on z nich uczynił najcenniejsze skarbnicy naszej klejnoty. On, bodaj że najpierwszy, nadał chłopu polskiemu najponętniejsze szlachectwo, bo szlachectwo piękna. On wprowadził chłopka naszego w świat szeroki, wielki, na zamkowe, przepychem lśniące sale, on postawił go obok dumnego wojewody; obok sławnego wodza — sielskiego postawił pastuszka, obok możnowładnej pani — wydziedziczoną umieścił sierotę; on, poeta, czarodziej, potężny z ducha monarcha, zrównał wszystkie stany, nie tu, na poziomie, na codziennego życia nizinach, lecz hen, wysoko, na najwynioślejszych szczytach uczucia.

Tak Polak słucha Szopena. Tak słucha on rasy swej całej wielkiego głosu. Od cichej, słodkiej, świetlanej, powiewnej kołysanki począwszy, aż do tych dwu sonat groźnych i mocnych, jakby z bohater-skiego kruszcu okutych, — to cała skala jego i jego

narodu życia... On widzi siebie niemowlęciem, jak mu nad kołyską w dzień słoneczny, upalny, przygrywa orkiestra motyli, jak mu skrzętny rój pszczołek brzęczy miodowo, jak mu chór ptasząt świergoce pocichu, by nie obudzić uśpionego... On widzi swe dzieciństwo sielskie, anielskie, swoją młodość górną i chmurną, swój wiek męski, wiek klęski... A oto i zima. Z wichrów poświstem przyszły śnieżyce i całą Ojczyznę białą pokryły martwością. Oto i kres jego żywota: koniec już marzeń, walk i cierpień. Na pośepnym wozie dom jego ostatni, ciasny, ubogi... Ku otwartemu łonu macierzystej ziemi wiozą jego szczątki doczesne, a w tej ostatniej na sen wieczny wędrownice przygrywają mu jeszcze potężne a ponure archaniołów trąby...

Słucha Polak i roni łzy czyste, rześiste. Tak my wszyscy słuchamy. Bo i jakże go słuchać inaczej, tego z Bożej mocy piewcy polskiego narodu?...

Szopen przyszedł na świat już po dokonaniu troistego nad naszą Ojczyzną mordu. Na niebie Europy świeciła wówczas w całej pełni gwiazda Napoleona, ta gwiazda, z której jasne smugi nadziei miały jeszcze w Polsce długie przetrwać lata. Dzieciństwo jego zeszło wśród względnych swobód ówczesnego Królestwa, wykrojonego jak serce z żywego ciała narodu. Już się zanosilo na tę gwałtowną nawał-

nicę, która całą dawną Polską wstrząsnąć miała, gdy Szopen kraj zegnał na zawsze. Odjechał, ale nie sam. Wywiózł ze sobą to, co Mickiewicz gdzieś jako „genius loci“ określa, a co byśmy chętnie „genius patriae“ nazwali, wywiózł ducha ziemi ojczystej, który nie opuścił go aż do zgonu. Temu też możemy zawdzięczać, że go nam, choć nie brakło chęci, nie zrabowano... Nawet przez ojca spokrewnioną z nim Francja nie myśli się zdobić w jego sławy promienie. Nie dlatego, że monarchów nikt o krew nie pyta, że duchy królewskie z berłem i koroną przyjmują serc podwładnych narodowość, lecz że w szopenowskiej tajemnej, głębokiej, uczuciowej, wulkanicznych wybuchów pełnej twórczości niema zgoła pierwiastków rasy francuskiej, bo nawet forma nie posiada cech dworackiej zimnej elegancji, jeno jakąś możnowładczą wytworność.

Nawet ten naród liczny, mnogi, ten naród silny, a bez morza, któryby to morze chętnie ze wszystkich rzek słowiańskich wytworzył, ten naród, co nam zabrał już tyle, na Szopena nie podniósł dotychczas zaborczej ręki. Choć on Słowianin — ale taki inny. Bo jakże daleko od jego krasy, od jego czaru, od jego bogactwa barw, światła i cieni — do tej ponurej a monotonnej, choć mądrej rosyjskiej muzy, na której licach uśmiech pogody i promień szczęścia zda się, że nigdy nie powstały. Jakaż to przepaść dzieli jego tęsknotę, jego smutek, jego tragizm przygodny — od tamtej rozpacz, co wieje na nas

jak mroźny, groźny wicher od stepu bez miary, bez granic i bez nadziei...

Wkrótce po wyjeździe Szopena na ziemi jego rodzinnej, zwłaszcza w ościennych województwach, ucisk zapanował — jak wiadomo — straszny: ucisk, którego bezprzykładne okrucieństwo tylko jakąś bezmyślną, dziką na niewinnych zemstą za długie jarzmo tatarskie wytłumaczyć można. Zabraniano nam wszystkiego! Mowy ojców, wiary przodków, czci dla świętych przeszłości pamiątek, strojów, obyczajów, pieśni narodowych... Zabraniano nam Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Nie zabroniono nam tylko Szopena. A jednak w Szopenie tkwi wszystko, czego nam wzbraniano: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń. Przez długie lata udręczeń, męki i prześladowań, przez długie lata znękanych myśli naszych najtajniejsze nici z nim się wiązały, ku niemu się tuliły zbolełe serca nasze. Ileż on ich ukoił, pokrzepił... a może i nawrócił. Wszak on był i tym przemytnikiem, co w zwitkach nut niewinnych, rodakom po kresach rozsianym rozwodził zakazaną polskość; wszak on był i tym kapłanem, co nas rozprószonych w święty Ojczyzny zaopatrywał Sakrament.

Stoi on teraz w blasku ziemskiej chwały, w nieśmiertelnych promieniach wdzięczności narodu, cały umajony zawsze w świeże wieńce, ze czci, podziwu, z zachwytu i miłości uwite. Ale nie stoi sam. *Genius Patriae*, duch ziemi ojczystej, duch narodu nie opuszcza go, nawet po śmierci.

Człowiek wielki, choćby największy, ani nad narodem, ani poza narodem być nie może. On jest z jego ziarna, jego częstką, jego kwiatem, jego kłosem, a im większy, urodziwszy, mocniejszy, tem sercu narodu bliższy... Szopen może nie wiedział, jakim był wielkim. Ale my wiemy, że on wielki naszą wielkością, że on silny naszą siłą, że on piękny naszym pięknem. On nasz, a my jego, albowiem w nim się objawia cała nasza zbiorowa dusza.

Więc krzepmy serca do wytrwania, do trwania, myśli strójmy do czynów, do dzielnych, sprawiedliwych, uczucia podnośmy do wiary, do silnej, bo nie ginie naród, co ma taką wielką, nieśmiertelną duszę.



PADEREWSKI O LWOWIE

Z MOWY, WYGŁOSZONEJ W PIERWSZYM SEJMIE
POLSKIM, W DNIU 19-GO LUTEGO 1919 ROKU

...Czem jest Lwów dla Polski, jak jest jej drogi, jak nieodzowny, tego chyba Polakom tłumaczyć nie potrzeba. Na południowym wschodzie Lwów jest najpotężniejszą wolności ostoją, jest strażnicą polskiego ducha, jest ogniskiem polskiej myśli. Jeśli Warszawa była i jest sercem Polski, to przez długie lata ucisku i niewoli Kraków i Lwów były jakoby płuc dwoje, któremi cały naród chłonał niezbędne dla życia wolności powietrze.

KOMPOZYCJE PADEREWSKIEGO

KOMPOZYCJE IGNACEGO JANA PADEREWSKIEGO

Impromptu, bez liczby op. (Skład nut W. Banarskiego, Warszawa).

Op. 1. Preludium a Capriccio, — Minuetto g-mol (Bote-Bock, Berlin).

Op. 2. Trois morceaux pour piano: Gavotte e-mol, — Mélodie c-dur, — Valse mélancolique a-dur (Kruziński & Lewi, Warszawa).

— Intermezzi (*W błyskawiczną noc*) g-mol i c-mol (*Echa Muzyczne*. Raichman i Frendler, Warszawa).

Op. 4. Elégie pour piano (Bote-Bock, Berlin).

Op. 5. Danses polonaises: Krakowiak e-dur, — Mazurek c-mol, — Krakowiak b-dur (Bote-Bock, Berlin).

— Powódź (na fortep.) utwór drukowany w *Jednodniówce Na powodzian* (Warszawa, 1884).

Op. 6. Introduction et Toccata (Bote-Bock, Berlin).

— Moment musical (dodatek do *Echa Muzycznego* Nr. 435).

Op. 7. Cztery pieśni do słów Adama Asnyka: „Gdy ostatnia róża zwiędła“, — „Siwy koniu“, — „Brzezina“, — „Chłopca mego mi zabrali“ (Bote-Bock, Berlin).

Op. 8. Chants de voyageur: 1. Allegro agitato, — 2. Andantino, — 3. Andantino grazioso, — 4. Andantino mistico, — 5. Allegro giocoso (Bote-Bock, Berlin).

Op. 9. Danses polonaises: Zeszyt I-szy: 1. Krakowiak f-dur, — 2. Mazurek a-mol, — 3. Mazurek a-dur. Zeszyt II-gi: 1. Mazurek b-dur, — 2. Krakowiak a-dur, — 3. Polonez h-dur (Bote-Bock, Berlin).

- Op. 10. Album de mai, Scènes romantiques: 1. Au soir, — 2. Chant d'amour, — 3. Scherzino, — 4. Barcarolle, — 5. Caprice-Valse (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 11. Variations et Fugue a-mol sur un thème original (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 12. Album Tatrzańskie; na 4 ręce (Ries & Erler, Berlin).
— Album Tatrzańskie; na 2 ręce (*Echo muzyczne*, Raichman i Frendler, Warszawa).
- Op. 13. Sonate pour violon et piano (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 14. Humoresques de Concert pour piano (à l'antique et moderne): Zeszyt I-szy: Menuet, — Sarabande, — Caprice. Zeszyt II-gi: Burlesque, — Intermezzo polacco, — Gracovienne fantastique (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 15. Dans le Désert. Tableau musical en forme d'une Toccate (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 16. Miscellanea: Légende Nr. 1, — Mélodie, — Thème varié, — Nocturne, — Légende Nr. 2, — Un moment musical, — Menuet (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 17. Concerto (la mineur) pour piano et orchestre (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 18. Sześć pieśni do słów A. Mickiewicza (po polsku, po niemiecku i po angielsku): „Połały się łązy“, — „Piosnka dudarza“, — „Moja pieszczotka“, — „Nad wodą wielką i czystą“, — „Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem“, — „Gdybym się zmienił“ (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 19. Fantaisie polonaise sur des thèmes originaux pour piano et orchestre (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 20. (?) Manru. Partytura orkiestrowa oraz wyciąg fortepianowy. Słowa polskie St. Rossowskiego i niemieckie A. Nossiga. (Bote-Bock, Berlin).
— Wyciąg fortepianowy, słowa niemieckie i angielskie H. Krehbiela (Schirmer, New York).
- Op. 21. Sonate pour piano mi bémol mineur (Bote-Bock, Berlin),
- Op. 22. Douze Mélodies sur des Poésies de Catulle Mendès „Au Ménestrel“. (Heugel et Comp., Paris).

- Op. 23. Variations en mi bémol mineur pour piano (Bote-Bock, Berlin).
- Op. 24. (?) Symphonie h-mol, partytura orkiestralna i głosy, (Heugel et Comp., Paris).
- „Hej orle biały“, (słowa i muzyka), hymn na głosy z akompanjamentem orkiestry (1917).

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000679231



I 69265